

# ROLA.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.

W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.

W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.

W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

## PISMO TYGODNIOWE, SPÓŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

## Przed zarazą...

Zpomiedzy zarzutów, jakie organa pozytywno-postępowej prasy warszawskiej czynią społeczeństwu naszemu, najczęstszym jest zarzut — nietolerancyi. Ile z tego powodu padło już na głowę społeczeństwa naszego gromów, ile na dowiedzenie onej zbrodni naszej spotrzebowano argumentów — daremnie usiłowałibyśmy obliczać. Nie mamy też zamiaru podejmować tej pracy niewdzięcznej, a nie mamy głównie dlatego, że walka panów postępowców z nietolerancyą ogółu polskiego wydaje nam się w tej chwili walką — z wiatrakami...

My mamy nie być tolerantami? Jako żywo, nie! — Jesteśmy nimi raczej zanadto, aż do absurdu, aż do zapoznania godności własnej i obowiązku przeciwdziałania zarazie materialistyczno-bezwyznaniowej.

Oslabła w nas siła przekonań, stepiał zmysł samozachowania. Myśmy dzisiaj chorzy na wycieńczenie moralne, a choroba ta wływa nader szkodliwie. Nie umiemy już stać silnie na straży, nie umiemy nigdzie, nawet u własnych ognisk rodzinnych.

Może tak nie jest?... Ano, zobaczymy.

Oto w pewnym domu, przy jednym stole, siedzi towarzystwo: poważny mąż, poważna matrona — to gospodarze; obok nich syn wyrostek, córka młodzieuchna i wreszcie osoba młoda, pełniąca w tym domu obowiązki nauczycielki. Rozmowa, obracająca się przez czas jakiś około przedmiotów powszednich, schodzi na temat o małżeństwie, o jego zacności, wpływie na uobyczajenie społeczne, o sakramentalności stanu małżeńskiego.

Tak przynajmniej dowodzi pan domu, pospołu ze swą małżonką, a słowa ich niby jasna przędza, osnuwają niewinne serca słuchających dzieci, osnuwają je niby puklerz ochronny i wpadają do ich dusz młodzieńczych jako nasienie zdrowe i czyste.

Wtem, niby fałszywa nuta z niestrojnego instrumentu, z ust młodej mentorki, wypływają słowa:

— To poglądy nazbyt idealne. Instytucja małżeńska, w takiej formie w jakiej dziś istnieje, to zabytek średniowieczny, niewola skuwająca ludzi ze sobą ale nie uszczęśliwiająca ich bynajmniej. Bo czyż niewolnik może być szczęśliwym? Nie; a zresztą czasy niewolnictwa już minęły. Takiem jest moje przekonanie, i dlatego chciałabym bardzo aby i u nas wprowadzone zostały śluby cywilne i t. d. i t. d.

Ktoś może przypuszczać, że młodą zwolenniczkę ślubów cywilnych, a więc i „niepodległości moralnej“, po ta-

kiem wyznaniu, spotyka wymówienie miejsca, że rodzice natychmiastowo usuwają dzieci z pod postępowego (!) jej wpływu, że pozbywają się bezzwłocznie z domu zarazy? Bynajmniej — zzymają się w duchu, ubolewają nad złym wyborem nauczycielki, ale tolerują ją u siebie do czasu, bo — jak mówią — zerwać odrazu to tak jakoś nijako...

To samo, w różnych formach, powtarza się u nas dzisiaj wszędzie. Gorszymy się cynizmem różnych „mentorów“ i „menterek“ współczesnych, wzdrygamy się na widok wywieranego przez nich wpływu, przeraża nas przewidywanie następstw tego wpływu — ale nie mamy odwagi stawić im śmiałego czoła; nie mamy dość poczucia moralnej siły nawet pod własną strzechą, nawet wobec obowiązku strzeżenia własnych dzieci od — zarazy. Płyniemy z prądem...

Czyż to nie szczyt tolerancyi?

Niezawodnie. Lecz, jakkolwiek to nasze tchórzostwo duchowe i ta nasza tolerancya szczytna mogą być na rękę koryfeuszom „nowej ery“ i nawet wywołać z czasem ich pochwałę, uważamy sobie za obowiązek rzucić z powodu tych naszych właściwości — słowo przestrogi.

Według naszego zdania, prąd materialistyczno-pozytywnego zdziczenia, nigdy nie już pokonanym, ale choćby cokolwiek opanowanym nie będzie, jeżeli do walki z nim nie wystąpimy tak jak on występuje, to jest, jeżeli nie zaczniemy przeciwdziałać mu wszędzie, na każdym kroku. A gdy walka z nim konieczną jest na arenie życia publicznego, to o ileż konieczniejszą być musi ochrona domowego zacisza przed wpływami zarazy!

Cóż bo jeżeli nie rodzina, nie ów zaciszny zakątek domowy jest szkołą obyczaju, kołyską przyszłości? Któż z nas nie pamięta dziś, po dziesiątkach lat, wrażeń odebranych w dzieciństwie? Kto nie pamięta pierwszych o świecie i życiu wykładów? Kto nie ma przed oczyma przykładów z życia rodziców i najbliższego ich otoczenia? Kto słowem nie czuje na sobie wpływu wychowania domowego?

Śmiało rzec można iż niema, w żadnej sferze społecznej, ani jednego człowieka któryby pierwszych w życiu kroków nie stawiał według wskazówek i przykładów jakie mu dali jego wychowawcy, jego strzecha domowa. Później losy, świat, czas wreszcie dokonywają na człowieku swych doświadczeń i urabiają go różnie; człowiek wszakże, choćby najbardziej uległy wpływom świata, zachowuje do końca dni swoich bodajby tylko wspomnienie dzieciństwa i nigdy nie zatracą w zupełności piętna wpływów domu rodzicielskiego. Można przytłumić w sobie wzrost ziarenek pierwiastkowego wychowania, ale wykorzenie ich nie można.

Nie można też przypuszczać aby dzieci rodziców przestających z wyznawcami „niepodległości moralnej“ wierzyły, gdy dorosną, w szczerą udzielaną im przez tychże ro-

dziców przestróg i napomnień moralnych. Niepodobna przepuszczać aby syn ojca najuczciwszego stał się takim samym, gdy ojciec w swem otoczeniu toleruje ludzi nieuczciwych. Niepodobna spodziewać się wspólności wierzeń między synem a ojcem który wpuszcza do swego domu rozkrzewiaczy różnych, pseudo-filozoficznych nowinek. Niepodobna spodziewać się aby córka najprzykładniejszej matki i najcnotliwszej kobiety została równie przykładną i cnotliwą matką-kobietą, gdy ta matka, gwoli tolerancji, da do siebie a co za tem idzie i do swej córki przystęp osobom niezbyt przykładnym i cnotliwym...

Ani synowie, ani córki rodziców tak tolerancyjnych nie mogą spełnić pokładanych w nich nadziei, bo co zrobi ich zacność i dobra wola, to uszkodzi — tolerancja, co zbuduje bogobojność i rozsądek, podkopie cynizm i kuglarstwo pseudo-naukowe. Nie wzmogą się one w siłę przekonań, w siłę zdolną oprzeć się naporowi zgubnych prądów; ulegną im i skrzywią się moralnie, niby wiotkie płonki wzrastające bez podpory i wystawione na działanie prądów powietrznych.

W swoim czasie, dowodziliśmy na tem samym miejscu że większość naszego ogółu jest dzisiaj — pod względem wierzeń i przekonań — niewyraźną. Wypada nam powtórzyć to z naciskiem. Tak, jesteśmy niewyraźni i stajemy się takimi coraz bardziej, niby pieniądź metalowy z którego, w długim obiegu, stempel znika stopniowo. Pieniądź bez stempla i człowiek bez wyraźnych przekonań jednakowo mało są warci i prędzej lub później jednakowo bywają — wycofywani z obiegu.

Jesteśmy niewyraźni — powtarzamy raz jeszcze — a przyczyna tego stanu naszego leży głównie w lenistwie ducha, które nie dozwala nam widzieć jasno krzywdy jaką wyrządzamy sobie i swoim — przez dopuszczanie do naszych ognisk domowych ludzi złych i przewrotnych. Zdaje nam się że nasze stosunki towarzyskie to rzecz obojętna i nie wywierająca zgoła wpływu na dzieci nasze, albo że wpływ ten, przez zastosowanie odpowiednich środków, zdołamy unicestwić. Błąd to i złudzenie.

Człowiek dojrzały może nie uleść w danym razie, lub uległszy powrócić do równowagi; lecz umysł młody ma to do siebie że wchłania wszystko: dobre i złe, a nawet złe chętniej niż dobre. Choćbyśmy więc osobiście wpływali nań najbardziej dodatnio, a nie starali się oddalać wpływów ujemnych, to, w najlepszym razie, postępowanie takie spr-

wi że w umysłach dzieci naszych powstanie chaos, myśli ich poplączą się, pogmatwają, a świata przysporzymy nie ludzi uczciwych i rozumnych, lecz obłąkańców, istot biernych, nie posiadających żadnej indywidualnej wartości.

W przewidywaniu tedy takich następstw naszej tolerancji towarzyskiej, w imię dobra naszych dzieci, radzibyśmy przemówić:

Ochroniajmy nasze przybytki domowe przed zarazą materialistyczną, nie wpuszczajmy jej pod strzechy nasze, a jeśli już wkradła się tam zdradziecko, wypłenmy ją co rychlej, niby chwast zpośród zasiewu, aby nie zakaziła serc, nie obłąkała umysłów dzieci naszych. Czyńmy tak, aby ci co po nas przyjdą, byli duchem godni tych co żyli przed nami, aby jak tamci nam, przekazali swoim znowu następcom talizman cnoty i aby strzedz go od zmazy, bronić od zratry umieli.

W. St. Orczyc.

## „Podporządkowawcze“ leśni. (1)

Przedkowie nasi ongi mawiali: „Nie było nas — był las, nie będzie nas — będzie las“; współcześni zaś gospodarze więcej jednozgodnie i uporczywie nucą, że losy borów głównie od „moralności niezależnej“ zawisły.

O wpływie okolic leśnych na stan cielesno-duchowy mieszkańców i na dobro kieszeni ogółu, jako o rzeczach wiadomych, mówić nie będę; zresztą każdy bezpośrednio widzi, że z dawnych, starożytnych puszczy naszych, od wieku XV-go począwszy, znikają szybko ślady. Dziwna a bodaj fatalna analogia zachodzi pomiędzy obszarem promieni cywilizacji naszego wieku oświeconego, a przezieraniem spieku słońca tam, gdzie niegdyś sploty liści, konarów i łodyg wieczystych stanowiły niejako wał „ochronno-klimatyczny“.

Parcelacja gruntów, a raczej rozczłonkowanie wielkich folwarków na coraz mniejsze działki, czyli drobniutkie folwarczki, zda się zrozumiałe mówić to samo do większej własności ziemskiej, co powiedziano w Piśmie Ś-tem o człowieku: „z prochuś powstał i w proch się obrócisz“. — Jakoż i rozumni ekonomiści francuzcy drżą z obawy, aby cała gleba Francji nie rozsypała się w pył („le sol de la France tombe en poussière“).

Nowy tedy zwrot w kierunku gospodarstwa społecznego, co do podziału ziemi, prawdopodobnie nie przyczyni się do zwiększenia nadszarpanego królestwa leśnego. Bo czyż

(1) Mianem podporządkowawczy nazywamy tu, na wsi, wszelkich szkodników i amatorów cudzej własności.

## „NARWAŃCY“

POWIEŚĆ

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Redaktor „Zwiastuna Powszechnego“ zmrużył powieki i ściągnął lekko brwi. Ten młodzik prażył go od czterech tygodni w szeregu artykułów, które wymierzył przeciw prasie informacyjnej, brukowej. Uczył go, jak trzeba pismo redagować, aby służyło społeczeństwu rozumnie, dawał mu wskazówki, rady, on, prawie gołowąs, jemu, posiwiąłemu na stołku redaktorskim.

I Bolesławowi nie sprawiło to położenie przyjemności. Spotkać się oko w oko z człowiekiem, któremu się dokuczają przez kilka tygodni, nie należy do rozkoszy.

Kilka sekund namyślali się obydwa, co z sobą począć. Wreszcie odezwał się Bolesław.

— Jestem Orlikowski.

— Zagrodowski, do usług — odparł redaktor i podał Bolesławowi kieliszek. Pan dawno w Warszawie? — zapytał.

— Dopiero od dwóch miesięcy, panie redaktorze.  
— Domyślałem się tego. Jak uważam, nie znasz pan dotąd naszych stosunków.

— Staram się o to sumiennie, aby je dokładnie zbadać.  
— Ale zanim to nastąpi, możesz przez nieświadomość skrzywdzić wielu ludzi, panie Orlikowski, zwłaszcza, gdy zdolnym piórem twojem będzie powodował dziennikarz tak niedyskretny, jak ten pan Młodowski.

— Przyznaję się... rzeczywiście... bąkał Bolesław.

Redaktor przygryzał dolną wargę, namyślał się, przypatrując się Bolesławowi ukośnym spojrzeniem. Po chwili odezwał się.

— Należy mi się od pana, jako starszemu, wizyta. Gdybyś pan miał jutro kilkanaście minut wolnych, możemy się porozumieć.

Bolesław cofnął się. Jaktó? Ten człowiek, którego chłostał od miesiąca bez miłosierdzia, miałby ochotę wejść z nim w bliższe stosunki?

— Nie omieszkam stawić się na wezwanie pana redaktora — odpowiedział zawstydzony.

— Proszę pamiętać! Jutro o godzinie trzeciej, będę na pana czekał. Do widzenia!

Bolesław odszedł wolnym krokiem na drugą stronę pokoju, odurzony tem co słyszał.

mamy się dziwić, a tem samem i potępiać kmiotka za to, że otrzymawszy „w seperunku“ mizerną kępkę drzewa, spieszy skwapliwie wyciąć i wykarzcować ją doszczętnie, ażeby corychlej bujne plony zboża z przyszłych nowin zbierać?

Ale przejdźmy do rzeczy, to jest do samej sprawy lasów.

W różnych stronach naszego kraju spotykamy jeszcze znaczne oazy drzewostanów. Są to lasy rządowe oraz prywatnych posiadaczy ziemskich, a wszędzie w nich są zaprowadzone gospodarstwa leśne, system straży całosci dóbr i dozór przemysłu drzewnego jest należycie zorganizowany i dostatecznie broni przystępu nieproszonym gościom do zakazanego owocu. Ale w nader niekorzystnych warunkach trwałości i bezpieczeństwa od szkód i kradzieży znajdują się kilkowłokowe i mniejsze okólniki leśne, a nadewszystko wówczas, gdy są pozbawione sąsiedztwa większych majątków, i gdy dookoła gaiku przylegają sioła złożone z kilkomorgowych osad.

Nie twierdzą, ażeby ryczałtem wszyscy drobni gospodarze przesładowali to cudze mienie, owszem, jak w każdej warstwie społecznej, tak i tutaj bywa różnaitość „przekonań“ i różne stopnie rozwoju moralnego. Bądź co bądź leśni złodzieje rekrutują się z jednostek niemoralnych, więc z bul-tajów, a nadewszystko z nałogowych próżniaków. Gotów jestem przyjąć za pewnik, że chłop stale i sumiennie oddany pracy nie może być złoczyńcą; leniwczy zaś zarówno biednego jak i bogatego niszczą, — oni są plagą tak dobrze kilkomorgowego kmiotka, jak niemniej i dziedzica wsi.

Nie przeczę też że i włościaninowi „przy ambicyi“ (czytaj: zamożnemu) zdarzy się „wypadkiem“ nawiedzić borem sąsiedni; tego już nie nędza, lecz żądza chciwości zagnała do wycieczki. Wszakże przykładowe zachowanie się i wyrozumiałość przybysza ostatecznie nie rujnują rażąco drzewostanu, albowiem nałamawszy „suszków“ i gałęzi, powraca ów przybysz kryjomo z wiązką opału do swej siedziby.

Najmniej szkody wyrządzają w lasach tacy, którzy nie mają opału, a co gorsza i nie mają go za co kupić. Biedna wdowa, obarczony, dziećmi wyrobnik i w ogóle „pokomornik bezrolny“, nie poświęcają drogiego im czasu na kradzież i nie rozporządzają swemi końmi dla zwózki ściętych sztuk drzewa. Co dziwna jeszcze, że ci biedacy bezdomni nabywszy za gotówkę kupkę gałęzi, muszą się opłacać w dwójnasób za furmankę, najętą u bogatszych włościan do zwózki opału. Jeżeli kiedykolwiek taka biedota ostateczną nędzą przyciśnięta, natrze do lasku dworskiego, to wejdzie w dzień, a wprzód się opowie, poprosi i, nie zrobiwszy żadnego uszczerbku, nazbiera sobie w worek lub postronek garstkę suchych gałązek, poczem opuszcza miejsce zbioru z najczystsze sumieniem, pełna wdzięczności dla dziedzica.

To też nie darmo lud wiejski o swoich rówieśnikach głosi, „że tylko bogaty kradnie a nie biedny“. Sens rzeczowego zdania wymaga bliższego wyjaśnienia. Wedle więc pojęć gminu, kto włada choć lada jaką częścią ziemi, ten

— Czego on może chcieć odemnie? — pytał siebie, nie umiając sobie wytłumaczyć kaprysu redaktora.

W sali rozpoczęły się już płąsy.

Bolesław stanął na progu i przypatrywał się wirującym parom. Widział jak Alfred unosił w walcu wiotką postać Wandy, jak płynął z nią między tańczącymi, szepcząc jej do różowego uszka słodkie widocznie słówka, bo dziewczyna uśmiechała się rozkosznie. Byli oboje przystojni, zwracano na nich uwagę.

Wzrok jego, błądzący po falujących głowach, zatrzymał się na Izabeli, którą właśnie jakiś panicz wypuścił z rąk swoich.

Bolesław zbliżył się do panny Moszyńskiej i podał jej ramię. Opierając się na nim, uściśnęła mu prawicę. Posuwali się po woskowanej posadzce, spojeni, milczący. On tańczył bez zamilowania, ona oddychała prędko, przytuliwszy głowę do jego piersi.

Gdy usiadła, stanął obok niej.

— Wcale pana nie widać w salonach — odezwała się Izabela. Dlaczego, panie Bolesławie?

— Nie umiem rozmawiać z warszawiankami — odpowiedział — nie znoszę tej częściej paplaniny bez sensu, tych niby dowcipnych dwuznaczników, które właściwie nic nie oznaczają. Stałem obok jakiegoś pary i byłem mimowolnym słuchaczem ich rozmowy. Nic a nic nie rozumiałem. Jestem

pospolicie zapala się egoistyczną żądzą chciwości powiększenia dóbr doczesnych, a dla ucielesnienia pokus często-kroć nie gardzi krętawemi środkami.

A propos!... Odbiegnę znów na chwilę za nawias swej pogawędki i poproszę panów chłopomanów warszawskich o rozwiązanie następującej zagadki ekonomicznej.

Lud wiejski utrzymuje, że główną przyczyną wykroczeń przeciwko własności jest pobudka chciwości zamożniejszych, albo też próżniactwo; a panowie wspomnieni twierdzą przeciwnie: według nich nędza i brak ziemi spychają prostacka na manowce występku. Zgoda! Zatem drobni posiadacze bogatych, pszennych działów ziemi, dajmy na to Ciechanowskiej albo Pułtuskiej, na zasadzie teorii chłopomanów, powinni gorliwiej szanować cudzą własność, aniżeli np. osadnicy lichych, piaszczystych kawałów gleby Ostrołęckiej lub Przasnyskiej? Jaśniej mówiąc, chłop, posiadacz pysznego i żyznego gruntu powinien być cnotliwszym i mniej chciwym od swego kolegi i mizeraka, co to po kolana brnie w piachu niewdzięcznym. Niestety, rzeczywistość stanowczo przeczy fałszywym mędrkowaniom; — statystyka kryminalna sądów gminnych wcale nie dwóznacznie ów *vox plebsu* potwierdza. Czem się to dzieje? jak rozwiązać węzełek tej pozornej antylogii? Ano, jądro łamigłówki tkwi po części w ukochanem lenistwie naszym, słowiańskim. Pyszna ziemia bowiem wymaga ciężkiej pracy, dlatego też ją „ciężką“ świat zowie, bo bez usilnego trudu nic nie urodzi; piaszczek zaś naodwrot, jest to gleba lekka, nie potrzebująca wielkiego zachodu rolnika, i byle jaki oracz, lada próżniak łąco się z nią upora.

Wyliczyłem cząsteczkę najbardziej uczciwych, „niewinnych“ i przygodnych przechodniów puszczy; z kolei opowiem o drobnym przemysle wiejskim z zakresu leśnictwa, o wytrawnych majstrach bron grabowych, mioteł i koszyków, czyli o nieproszonych opiekunach a zarazem stałych przyjacielach zagajników.

(Dokończenie nastąpi.)

## FRANCYA ŻYDZIAŁA.

### STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

Tom II.

Paryż żydowski i społeczeństwo francuzkie.

(Dalszy ciąg.)

Zamiast dodać otuchy temu działaniu dobroczynnemu, rozszerzyć atrybucye tego prawdziwego Komitetu zbawienia publicznego, deputowani lewicy zlekli się aby nie przyszyli do rozumu mózgi nieszczęśliwych proletaryuszów, któ-

widocznie zanadto ciężki i nie posiadam ani odrobiny dowcipu. Ci ludzie posługują się ciągle jakimiś urywanymi zdaniem, uśmieszkami, spojrzzeniami, przenośnemi zwrotami i nazywają to flirtacją salonową. Nie będziesz miała ze mnie pociechy, panno Izabelo. Nie wyrobię się nigdy na eleganckiego kawalera.

— Ale za to jesteś rozumniejszym od nich wszystkich, panie Bolesławie.

— W łaskawych pani oczętach.

Te oczęta były w tej chwili bardzo łaskawe, bo spoglądały na niego z uwielbieniem.

— Pożegnaj panią, panno Izabelo, bo zamierzam wymknąć się po angielsku — wyrzekł.

— Dlaczego tak wcześnie?

— Każde liczniejsze zebranie męczy mnie niesłychanie.

— O, jeżeli tak, to uciekaj czempredzej, panie Bolesławie, a nie zapominaj o mnie.

Jakiś hrabia zbliżył się i uniósł z sobą pannę Moszyńską, a Bolesław skierował się ku drzwom. Już miał wychodzić z sali, kiedy go Alfred ujął za ramię.

— Wiesz mi, Bolku! — mówił, cały rozpromieniony.

— Czy porozumiałeś się z panną Lipnicką?

— Oświadczyłem się jej w tańcu i przyjęła mnie.

— To niech wam Pan Bóg szczęści! Teraz pozostaje

rych oni oszukują zdraźdami obietnicami. Stanęli otwarcie, brutalnie, bezwstydnie po stronie trucicieli. Utworzyli pewien rodzaj syndykatu, w celu zapewnienia nieuczciwych zysków handlarzom wina, pewien rodzaj assekuracji Fałszerstwa przeciw Karze.

Po raz pierwszy Gambetta przyzwał na zgromadzeniu, które sobie jawnie założyło ten cel obrzydły. Po śmierci naczelnika oportunistów, Edward Lockroy podjął interes który mu się wydał dobrym, i na zgromadzeniu, które się odbyło w Marcu 1883, w Cyrku Zimowym, został otoczony wszystkimi politykami, należącymi do masoneryi.

Na estradzie stali obok niego:

PP. Brelay, Spuller, Barodet, Frébault, Anatol de la Forge, Cadet, Greppo, Cantagrel, Favey, de Heredia, Lafont, Tony Révillon, Beauquier, Pelletan, Peytral, Courmaux, Boué, Rousselle, pułkownik Martin, Amouroux, de Ménorval, Delabrousse, Robinet, Dreyfus, Hamel, Marsoulan, Curé, Jobbé, Duval, Deligny, Hovelacque, Ranc, Ernest Lefebvre, Germain Casse, etc.

Ten spokojny bezwstyd, jest może jedną z najcharakterystyczniejszych oznak podłości duszy tych deputowanych republikańskich. Jakież szlachetne słowa mógł być wyrzec człowiek naprawdę godny tego pięknego tytułu: przyjaciela ludu! Jakże słusznie mógł być odezwać się do tego ludowego audytorium: „Nie poniżajcie się przez pijaństwo! Pomyślcie o tem co pochłaniają te „maczugi“ („assommoirs“), o żonie, o dzieciach, które wyglądają płacy tygodniowej!

Z pomiędzy tych dworaków ludu, którzy figurują na tym spisie, nie było ani jednego, zdolnego przemówić tak, jak przemawiają najbiedniejsi z naszych wiejskich plebanów. Ci ulubieńcy tłumu, mogli byli co najmniej powiedzieć: „Ludu! ponieważ chcesz pić koniecznie, my będziemy pilnowali żeby cię nie truto, aby się nie dorabiano w kilku latach skandalicznych majątków kosztem twojego zdrowia“.

Z wszystkich tych ust wyszedł jeden tylko okrzyk zachęty dla fałszerzy i dystylatorów trucizny, okrzyk potępienia przeciw instytucji, która miała na celu ochronę życia robotnika.

Bezwstydny sposób, w jaki niektórzy mówcy, jak np. żyd Lyon-Allemand, znieważają publicznie prawdę na tych zebraniach, jest do wiary niepodobny. Twierdzą naprzykład, że Laboratorium paraliżuje handel, wymagając przecięciowo 10 stopni alkoholu i 20 gramów ekstraktu suchego.

— Wino szampańskie nie dochodzi do tej przeciętnej wysokości!—dodają z tryumfem.

Wszystkie te argumenta są kłamliwe!

Zresztą Laboratorium nie zabrania nic sprzedawać, oprócz wyrobów szkodliwych; mówi tylko do handlarzy win: „Nie oszukujcie; powiedzcie, że to wino jest z wodą, że to wino jest fabrykowane z odpadków ziemniaczanych, że koniak posiada bukiet zrobiony z eteru. Niech sobie to pije, kto zechce.“

ci tylko jechać do Kalinowej i poprosić panią Moszyńską o błogosławieństwo.

— Uczynię to niezwłocznie. Dopóki nie wrócę z Kalinowej, proszę cię o tajemnicę. Tak życzyła sobie moja przyszła żona.

— Bywaj zdrów!

— Odchodzisz?

— Nie mam tu narzeczonej.

— Poszukaj jej sobie.

— Inne kochanie mi teraz w głowie.

— Więc do zobaczyska, do jutra, przyszły pogromco pozytywistów!

— Oby się tak stało. Do widzenia, Fredku!

Na dworze była pogodna noc jesienna. Nad samym domem, w którym mieszkał pan Rodowski, księżyc zdawał się stać spokojny, nieruchomy, obłany morzem srebrzystych błękitów.

Miasto zalegała już cisza spoczynku. Zdała tylko dochodził czasem turkot dorożki, wiozącej spóźnionego włóczkę.

Stróżowie przechadzali się wzdłuż kamienic. Tu i owdzie, na zbiegu dwóch ulic, błysnął mosiężny orzeł, lśniący na czapce policyanta.

Bolesław, otulony w futro, szedł pustym chodnikiem. Tam, w sali, na pierwszym piętrze, bawili się ludzie, tań-

Właśnie to odwołanie się do najelementarniejszej lojalności oburza republikańskich organizatorów tych meetingów. Bądź co bądź, postawili oni na swoim i od Lipca 1883 zabroniono Laboratorium używać oficjalnie wyrażań złe i szkodliwe. W r. 1884, Lyon-Allemand, jako sprawozdawca do rady municypalnej, żądał przyłączenia tej instytucji do prefektury Sekwany, ale wniosek ten został odrzucony.

Czyż to nie jest po farmazońsku? Ludzie, którzy konającemu biedakowi odmawiają w szpitalu kordyału słowa kapłańskiego, którzyby go pocieszył i umocnił, są tylko konsekwentni, odmawiając robotnikowi kordyału kieliszka zdrowego wina, którzyby go w trudach nieco pokrzepił. „Biada biednemu!“ woła bogaty Lockroy. Bogaty sam będzie miał prawo mieć nieco ideału w duszy, nieco ciepła w żołądku, nieco nadziei w przyszłym życiu, nieco zdrowej wesołości tu na ziemi. Gdyby się dało wyzyskać powietrze którym oddychamy, ci wydrwigrosze utworzyliby syndykat, którzyby nie pozwolili ubogim z niego korzystać.

Nie mogąc zagarnąć powietrza, nasi dzielni republikańscy wpadli na pomysł eksploataowania odpadków wyrzucanych na śmiecie. Ktoby to był kiedykolwiek przypuścił, że rząd, który ma być niby demokratycznym, wpadnie na koncept, żeby wydziedziczonym zabronić zbierać okrucichów wielkiego miasta, zgarniać resztek po uczcie? Tej nieublaganej srogości niepodobna nawet pojąć. A jednak ludzie stojący dziś u steru, nie cofnęli się przed ohydą podobnego kroku.

Interes był dobry. Według najumiarkowańszych obliczeń, cyfra gałganiarzy w Paryżu może wynosić pięćdziesiąt tysięcy. Każdy z nich zarabia przeciętnie trzy franki przez dzień, a raczej przez noc; ale dajmy na to że zarabia tylko dwa franki, to zawsze pięćdziesiąt tysięcy razy dwa franki, uczyni przez noc sto tysięcy franków. Sto tysięcy franków co noc czyni trzy miliony miesięcznie, a trzydzieści sześć milionów rocznie.

Trzydzieści sześć milionów rocznie, to ładny grosz dla ludzi, którzy utrzymują, że pieniądź nie ma zapachu. Zrazu ogłoszono, że jakieś stowarzyszenie angielskie oświadczyło, iż będzie bonifikowało te trzydzieści sześć milionów, które dostarczały środków do życia pięćdziesięciu tysiącom istot ludzkich. Rząd rozgniewany, ogłosił czempredzej za pośrednictwem agencji Havasa, że nie jedno, ale kilka stowarzyszeń.

W interes główny wszczepiono mniejszy interesik. Pewien dom z ulicy 4 Września, pod którego firmą kryło się dwóch żydów pruskich, zarzucił Paryż prospektami, głoszącami mieszkańcom miasta, że ci co u niego będą kupowali, będą odtąd bezpieczni od wszelkich protokółów, które gradem spadać będą na prostych śmiertelników. Wobec protestacyj, jakie się podniosły, udano, że śledztwo zostało wytoczone, nie zadziwię was jednak zapewne, gdy powiem,

czyli, tam upajał się Borowski oddechem swojej ukochanej, a on postępował samotny, skupiony w sobie.

Przyszłym pogromcą pozytywizmu nazwał go Alfred. Czy wykona, czego się od niego domagają, czy zmoże tego butnego krytyka, który nie umiał nic uszanować?

Bolesław dotarł już do samego dna doktryn pozytywnych przeniknął ich najskrytsze tajniki i nie znalazł w nich tego, czego się spodziewał, czego pragnął dla ogółu, o czym marzył. Zimno było w tej otchłani, pełnej rumowisk i szuderstwa; niezdrowy chłód wiał z tej góry bibuły, mieniającej się postępową, przez którą się przekopał. W nierozważnej i niepomahowanej; jakiejś nienawiści, przekroczono wszelkie granice krytycyzmu, obniżono ideały, nawet ogólnoludzkie; ustawiono ołtarze dla pospolitej, zdawkowej pracy. Usiłowano przerobić kraj na olbrzymią fabrykę bez Boga, bez poezji i bohaterstwa, fabrykę dla wyrobników, pracujących jedynie w nadziei zdobycia sobie dobrobytu, wygodnego życia. Ukorzono się przed złotym cielcem, uderzono czołem przed nierozumną materyą, usunięto odwieczną etykę i religię serca, jako przesąd, stawiając na jej miejsce zaborony połowicznej nauki.

(Dalszy ciąg nastąpi)

że ono nie doprowadziło do żadnego rezultatu. Rzecz jednak była jasna... Cyrkularz mówił:

„Każdy właściciel, który zdoła udowodnić, że kupił menażerki w naszym domu lub w jego filii, wolny będzie od kontrawencyi.

„Przeciwnie, każdy właściciel, który nie zdoła tego udowodnić, ulegnie od jutra następstwu rozporządzenia prefektury.“

Albo dzienniki wydrukowały dokument fałszywy, albo panowie przemysłowcy zrobili bezprawnie obietnicę, co stanowi oszustwo, albo wysocy urzędnicy miejscy dali się przekupić. W każdym z tych wypadków należało wytoczyć śledztwo.

Dano jednak temu pokój, żeby nie zaplątać w tę sprawę żyda Alphan'd'a, dla którego rada municypalna jest niezmiernie czułą; z łatwo zrozumiałych powodów.

Lewica zresztą, przejęta uwielbieniem dla tego Poubelle'a, którego później miało uniesmiertelnić sławne obliczenie głosów, nie miała słowa litości dla nieszczęśliwych galganiarzy. Księciu de la Rochefoucauld-Bisaccia przypada ten wielki zaszczyt, że się zajął sprawą tych nieszczęśliwych, których skazywano na śmierć głodową, i bronił ich wobec tych ohydnych republikanów, którzy widząc że zostaną przypuszczeni do tego interesu, śmiali się na całe gardło gdy on mówił.

Młodzi trzymali się jak mogli. Starzy pokładali się w swoich norach i oczekiwali śmierci. Stary Laplace, który nie jadł nic przez czterdzieści godzin, co, mimo wszystkiego co o tem myśli Poubelle, jest rzeczą ciężką dla starca 74 letniego, zgasnął jak świeca zadmuchnięta, na zgromadzeniu w sali Graffarda. Gouri, wypędzony ze swojej budy, sprzedał swoje łachy, popłacił długi i powiesił się w jednym z domów przy bulwarze Belleville. Pewna staruszka napisała list do jednego z dzienników radykalnych, wzywając Poubelle'a, aby ją kazał dobić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## OPOWIADANIE.

przez Autorkę „Opowiadań“.

(Dalszy ciąg.)

Zając przeczuł niebezpieczeństwo i nuż manewrować. Dziewczę używa wiadomego sobie fortelu, rzuca się w bok, jak egipcyanin przed krokodylem; tak zmykając w zygzak, dopadnie do pastwnika i... ocalona! bo tam przy bydle stary Świda, pastuch obroni ją.

Wszelako i chłopiec nie w ciemię bity, już się po raz wtóry nie da stropić, czujne ma oko, dalejże w zygzak, jak ona! Potknął się... to nie! tu grunt mniej równy.

Nagle prawa noga uwięzła mu w jakimś dołku, omal nie runął, aż się zachwiał; kopnął z gniewem bryłę czarnoziemu... i znowu leci... leci jednak z wściekłością w duszy, bo ona teraz prawie mu znikła z oczu. Złość go zaślepia, poskoczył w lewo, gdy ona pobiegła na prawo.

Achl wszystko stracone!... ogarnia go rozpacz, bo widzi teraz, że kto wie, czyli chart dopędzi już zającą. Dałby pół życia za siedmiomilowe buty z bajki... był pewien szczęścia, a ono ulatuje coraz dalej od niego, nie da się pochwyć.

Tymczasem zając ucieka, obejrzał się nawet z tryumfem, a widocznie jest pewny siebie; chart za nim daleko, daleko!...

Ale wtem nagle zając stanął i szamocze się przy krzaku, jakby stąpił na wnyki, popadł w samołówkę.

Chłopiec widzi, że to nie żadne złudzenie wzroku: najwyraźniej Jadwisia zatrzymała się przy tarniowym krzaku, a była zmuszoną przystanąć, gdyż sukienka jej zadzierzgnęła się o tarniowe kolce.

Boże co za fatalny wypadek! Jakże się gniewać będzie mama!... Na brycie z boku, dwie duże dziury, a sukienka nowa...

Stroskane dziewczę chwyta się za głowę, bo zgryzota nielada... rozdartą sukienka, aż strach patrzeć!

A chart tymczasem, korzystając z kłopotów zającą, nie baczy na nic i w kilku susach... łap za zdobycz!

Próżno dziewczę wrywa się chłopcu, do słowa nawet przyjsć już nie może, gdyż on, niby chart prawdziwy staje się okrutnie zajadłym, i w swej łapczywości, na zadatek przynależnej odprawy, już całuje jej szyję, jej oczy; wreszcie udało mu się przechylić jej główkę i... pocałował ją

w same usta... O! mógł się na śmierć zacieknąć przy tych ustach, tak mu one słodko zasmakowały... fraszka lipcowa patoka!

Lecz w tej chwili spostrzegł, jak po licu biednego zająca staczają się łzy grube.

Cóż się to stało?... złocisty, anielski jego zajęczek płacze.

Stas zdrętwiał z przerażenia, a wszelka zajadłość natychmiast w nim zgasła. Ujrzał, z rozpaczą w sercu, że pocałunki jego były trochę za charcie, takie mocne, bezlitośne, aż się odcisnęły czerwoną obrączką wkoło ust, czerwonymi piętnami na jej mleczej szyjce.

Gdy się już począł zagryzać tą krzywdą drogiej Jadwisii, łamiąc sobie głowę nad wynalezieniem sposobu złagodzenia swej winy, nagle słyszy, nagle wierząc prawie własnym uszom, że tu nie chodzi wcale o tę obrączkę wkoło ust, o te piętna na szyi, lecz poprostu o rozdartą sukienkę.

Jadwisia wrzała z gniewu, wskazując na bryt wzdłuż i wpoprzek rozerwany.

Całe nieszczęście Stas sprowadził! Stas winien, Stas niegodziwy, z tym conceptem gry niemądrej, studenckiej, dziecinnej!

Dziewczę tchem jednym wyrzucało z siebie grad wymówek, a Stas wszystko to przyjmował z pokorą, udając teraz smutek, gdyż naprawdę, w sercu miał jakąś szaloną radość, że jej szło o sukienkę, a nie o co innego.

Ona gniewna, pochmurna, zawróciła wnet w stronę rodzicielskiego dworu; idąc szybko, obierała najkrótszą drogę. On szedł milezący, rozmarzony, słodko zadumany; chciałby tak z nią na przedzie, odbyć podróż naokoło świata. Jej ta sukienka na myśli. Gdyby nie Stas, nie to grube Stasisko, gdzieżby jej przyszło do głowy bawić się w zwierzęta?... Jeszcze dziś rano miała takie poważne, śliczne plany! umyśliła prosić Stasia, żeby do niej napisał sonet, jak Petrarka do Laury. Wprawdzie Stas jest tylko dzieciakiem, niezawodnie wolałaby mieć sonet od brata Stasia, bo pan Aleksander już mężczyzna, za rok skończy uniwersytet... a Stas co? uczeń, wartogłów, latałby tylko po polu, jak żreback, wypuszczony ze stajni!... Ot, dała się wciągnąć w to latanie! piękna sprawa! Mama jej zawsze powtarza, że maniere chłopca nie przystoją panience, bieganiny do upadłego, darcie sukien na krzakach, rozrzucanie się hałaśliwie, to *mauvais genre*. Mama gotowa jeszcze zawstydzić ją przy gościach; broń Boże, co jeszcze gorzej, przy panu Aleksandrze, nazwać ją niesforemą dzieckiem. Oj, ten Stas, ten Stas!

Dochodzili do bramy dziedzińca: nieznacznie obejrzała się za nim.

Stas rozpromieniony czemś tajemnym, powtarzał w duchu jeden wyraz: Jadwisia, Jadwisia, Jadwisia... Jemu w sercu ciepłuchno, mięciuchno, a na ustach miał znowu ten sam uśmiech bezmyślny, niby od łaskotek.

### II.

Minęło lat kilka od fatalnego wypadku i sukienką Jadwisi.

Stas zmienił się w Stanisława, podrośli i zmeźniał; nad górną wargą wysypał mu się wąs czarniawy, gęsty jak szczyotka. Skończył już dawniej uniwersytet, a obecnie jest na praktyce gospodarskiej w majątku barona von U.

W tej chwili strudzony po pracy, wszedł do swego pokoiku, zapalił lampę, spuścił sztorę w oknie, wychodzącym na podwórzec folwarczny, i rzucił się na fotel przy stoliku.

Ruch ustał na zewnątrz domostwa, a skoncentrował się teraz w jego wnętrzu; z okien wkrąg budynków, migotały światelka, Herr Inspektor obszedł systematycznie wszystkie kąty i jest już teraz u siebie, wszystkim więc, którzy wchodzą w skład pracy na wzorowo urządzonej fermie, wolno być także u siebie.

Stanisław był sam, samotność swą miłował, była mu ona zwykle dobroczynnym wycieczkiem, w niej stawał się sobą, łagodził dolegliwą mu tęsknotę za swoimi, marzeniem o swoich.

Tu, na tej fermie pracował przeszło rok, dla wdrożenia się we wszelkie subtelności mechanizmu administracyjno-rolniczego. Praktyka to ciężka, w drobiazgach mozolna, w formułkach nużąca. Stanisław przywykł już do pozytywnej rutyny germańskiego ładu, nie mógł jednakże dotąd unormować swego duchowego życia, według duchowej skali poczciwych niemiaszków. Praca tu była bez zadnego uroku. Germanin pracował raczej wskutek wysoce rozwiniętego w sobie zachowawczego instynktu, niżeli z zamiłowania trudu. Narodowi brakło przestrzeni, w ciasnocie

jeden drugiemu wrywał trud i zysk, by nie paść z głodu. Praca taka, jak soliter, przenikała do najszybszych części organizmu ludu, do krańców ustroju jego ciała, wysysając zeń soki duchowe, wypychając zarazem z roboczego koła tych, którym na chwilę ręce omdlały. Wschód Europy obiecujący zyski, stał się dla Niemca ideałem. *Ubi terra, ibi patria*. Walka o byt u siebie, wyluskiwała z serc pruskich uczucia szlachetne, nawet przywiązanie do ojczyzny, nawet tęsknotę za ziemią ojców, a jednocześnie budziła łapczywe apetyty na cudze. Posiewy filozofii żydowskiej *ausrotten*, zaczynały wydawać plony. Zrazu był to karczunek między swymi: słabszy ustępował mocniejszemu, wszelako po nabyciu wprawy, przygotowywano plany do rozprzestrzenienia tej operacji. Zwolna urosło obmierzłe samolubstwo, kryjące się jeszcze z subtelną obłudą, pod płaszczki postępu, do czasu, póki dysymulacja uznana zostanie za niepotrzebną. Żyd, do giermańskiej gry podstępnej, przyrzucił jeszcze przebiegłość.

Spostrzegawczy zmysł Stanisława, jak każdego, słowianina, nie był dalekoosnym. Stanisław w obcowaniu z inoplemieńcami widział tylko sporadyczne zakażenia moralne, nie podejrzewał ogółu o przewrotność, przeciwnie, wierzył święcie w konsekwentność legalną Prus, w humanitarne dążności prusaków, w pierwszorzędny ich postęp.

Było to przed wojną prusko-francuzką.

Pycha cyniczna, instynkta drapieżne, przebiegłość wyrachowana, kryły się za parawanem pracy społecznej; nikt nie zwracał uwagi, jak coś wyjrzało niekiedy przez szczelinę parawanu, to owe coś było jednak niby do obejrzenia, drobną próbką towaru, którego jeszcze nie rozpakowano.

Kto przed oną wojną stykał się bliżej z prusakami, mimowolnie zastanawiał się nad sfinksowością ich działań. Z tem wszystkiem, Europa była pewną, że Prusy, to sfinks bez zagadki, a pruska kultura jest nawracającą, lecz nie będzie nigdy wojującą.

Stanisław żyjąc rok przeszło w tej atmosferze, nasyczonej czemś dla siebie przykrem, a nieokreślonym, zmordował się, a tęsknił do swoich; w ostatnich czasach, jego tęsknota przybrała charakter gorączkowy, drażnić go nawet poczęła ścisłość praktyki gospodarczej, której dotąd poddawał się z zapałem.

Tu go już nic nie wiąże, wyczuł się za dobre pieniądze tego, czego chciał, teraz chciał spróbować sił swych na ojczystym zagonie. Mógł tu być przeszło rok, teraz nie może znieść dnia, który tu spędza; coś go podrywa do lotu; jak zóraw stawał teraz godzinami, zapatrzony w stronę, gdzie miał odlecieć.

W tej chwili, przy świetle lampy odczytywał list ojca, nie wiadomo już po raz który. Ojciec pisał, żeby przyjeżdżał, a w ostatku dodawał: „Jestem spracowany, potrzebuję pomocy. Olesiowi, jak wiesz, kupiłem majątek, w którym „już gospodaruje; zostałem więc sam, bez podpory, a sił mi „ubywa z każdym dniem“.

Stanisław radby ztąd wyfrunąć natychmiast, lecz wstrzymało go jeszcze uregulowanie rachunków z Herr Inspektorem, ojciec w tych dniach ma nadesłać należność, on więc czeka na przesyłkę pieniężną, a potem... zarez w drogę!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## MOZAJKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

Coś niecoś o Towarzystwie zachęty sztuk pięknych. — Jeden z najszybszych pomysłów Komitetu. — „Śmierć Iwana Groźnego“ Makowskiego. — „Pogrzeb Gedymina“ Alchimowicza. — Józefa Hakowskiego kopia „Sobieskiego pod Wiedniem“ na srebrnej blasze. — Z salonu Krywulca. — Z nowej wystawy. — „Stryj i synowie“ Tryplinówny. — „Jan de Thommeray“, Augiera i Sandeau. — Parę nowych druków.

Dosyć zabawny w gruncie rzeczy spór o zaszczyt założycielstwa stowarzyszenia zachęty sztuk pięknych miał w sobie to dobre, że paru ludzi, należących rzeczywiście do zawiązków tej instytucji i śledzących jej losy z bliska od początku, postanowiło zabrać się do skreślenia historii jej powstania i krótkiego dotąd żywota. Zdaje się, że rodowód Towarzystwa został pomienionym sporem do pewnego stopnia wyjaśniony, z dalszym ciągiem dziejów historyografowie nie będą mieli wielkiego kłopotu, byleby nie ukrywając stron słabych umieli wytknąć dodatnie, i w chwili gdy mnożą się dla konkurencji, zaznaczyli prawdziwe zasługi Towarzystwa położone dla sztuki.

Wspomniawszy o konkurentach, nie myślimy bynajmniej potępiać konkurencji; owszem uważamy ją za jedną z najlepszych dźwigni wszelakiej ludzkiej produkcji; u nas jednak koniecznym jest co do niej jedno zastrzeżenie. U nas konkurencja powinna się bardziej niż gdzieindziej obliczać z siłami, bo u nas każde bankructwo podwójną szkodę społeczeństwu wyrządza: materialną i moralną, gdyż odstrasza innych i zniechęca przedsiębiorczość, już i tak słabą u nas i anemiczną.

Wracając do historyografów Towarzystwa, przypominamy im żeby przypadkiem na kartach swej księgi nie pominęli zasługi Komitetu, jaką położył, wprowadzając w wykonanie myśl umieszczania na swojej wystawie najcenniejszych utworów sztuki europejskiej. Pomysł ten, jedyny w swoim rodzaju do praktycznego obznajamiania ścisłych i szerszych kół interesujących się sztuką, z ostatnimi jej postępami i rezultatami, był co prawda łatwiejszym niż komu innemu do wykonania Towarzystwu, posiadającemu, jako instytucja obywatelska, większe niż ktobądź inny gwarancje, — ale zasługa nie przestaje być zasługą. Nie każdy i nie zawsze umie dopatrzeć się tego, co właśnie leży w zakresie specjalnej jego działalności.

Dzięki tej przyjętej przez Towarzystwo metodzie i w obecnej chwili oglądamy w jego salonie kilka utworów, zaszczyt przynoszących artyzmowi europejskiemu, a pierwszeństwo bezwarunkowo należy się obrazowi p. K. E. Makowskiego, profesora Akademii sztuk pięknych w Petersburgu. Jego „Śmierć Iwana Groźnego“ jest bezwątpienia jednym z najcenniejszych dzieł, jakie sztuka europejska wydała ostatnimi czasy. Nie znamy innych utworów p. Makowskiego, nie znamy jego „Wesela bojarskiego“, które ma być jeszcze świetniejszym od „Śmierci Iwana“ obrazem; nie pamiętamy nawet tytułu obrazu na ostatniej Wystawie berlińskiej, którym poraz pierwszy dał się chlubnie poznać szerszym kołom artystycznym, ale ten jeden, który obecnie znajduje się na wystawie Towarzystwa świadczy dowodnie, że z mistrzem w swojej sztuce mamy do czynienia. Treść obrazu opowiada, że Iwan Groźny zachorowawszy obłożnie w r. 1584, po kilku ciepłych kąpielach, które wziął z polecenia lekarzy, takie uczuł polepszenie, że zapragnął zagrać w szachy, i przeniesiony z łoża na fotel, bojara Bielskiego do partyi zaważwał. W komnacie zebrała się cała rodzina w szatach odświętnych na znak radości z tego polepszenia; więc żona cesarzowa Marta, więc syn Teodor z żoną i Borys Godunow brat carewiczowej. Przy nogach carskich nieodstępny jego trefniś. W tem nagle podczas gry car osłabł, jęknął i bezwładny opadł na poduszki. Na krzyk przerażenia wbiega lekarz, angił i nadaremnie usiłuje puścić jeszcze krew z obnażonej ręki cara; wbiega ślepa zgrzybiała, stuletnia mamka carska, i bez przewodnika, o lasce tylko, instynktem prowadzona, zdąży prosto ku mlecznemu synowi.

Nie wiele osób, a jednak scena żyje, dramat rozgrywa się w całej pełni. Twarz konającego już napół martwa, a jednak jeszcze pełna grozy; przerażenie maluje się na fizjognomiach i w postawach wszystkich obecnych, a u każdego niemal inaczej, najwybitniej jednak piętnuje się na twarzy trefnisia, na której widać razem przestrasz, współczucie i zwierzęce niemal przywiązanie. Obie kobiety, carewowa i carewna, piękne, każda odmienna, a jednak obie o typie ruskim, który zresztą cechuje wszystkie twarze, z wyjątkiem puszczającego krew angiłika, i jakiejś figury z wzniesionymi w górę oczyma, stojącej za krzesłem cara. Obok błązna i bojara Bielskiego, którego przerażenie niezmiernie efektownie a prawdziwie z płótna wychodzi, uderza dumna i zimna postać Borysa Godunowa. Mniej zdeteminowane uczucie maluje się na twarzy Teodora, choć ręce załamał i niby łzawym wzrokiem wpatruje się w ojca. Staruszka mamka, z flamandzką niemal namalowana prawdą. Wogóle p. Makowski rysuje nader poprawnie, maluje dzielnie, wypukło, plastycznie, jest kolorystą ale nie krzyżącym, słowem jest artystą, umiejącym doskonale pochwycić ducha treści obrazu, rozporządzić jego ogółem i szczegółami, a wreszcie posiadającym środki potężnego uplastycznienia swoich pomysłów.

Z Petersburga również nadszedł na wystawę Towarzystwa nagrodzony tam obraz naszego Alchimowicza „Pogrzeb Gedymina“. Obraz ten posiadający wielkie zalety, ma zdaniem naszym tę kardynalną wadę, że część pejzażowa góruje niezmiernie nad rozgrywającą się na jej tle akcją, która wydaje się tylko niejako staffażem, przeznaczonym do jej ożywienia. Po prawej stronie obrazu skrawek boru ciemnego, z potężnymi i dzielnie malowanymi drzewami; po lewej świetlany krajobraz, ozłocony promieniami wschodzą-

cego słońca, skapanemi w gładkich i przezroczystych toniach Trockiego jeziora; na tym podkładzie rozrzucony orszak pogrzebowy, złożony z figur trzymany przeważnie w tonach szarych, wsiąka niejako w tło o tonach zdecydowanych. P. Alchimowicz posiada tę zresztą zarazem zaletę i wadę, że w figurach mianowicie swoich małych środkami osiąga stosunkowo wielkie efekta, ale środków tych nie koncentruje nigdy silnie, aby uzyskać efekta potężne. Na tle mniej więcej obojętnem, maniera ta wychodzi nieraz zwycięzko; na tle silnem, jak w „Pogrzebie“ nie osiąga pożądanej plastyki i wrażenia. Oprócz tego obraz nie posiada punktu skupiającego, gdyż zwłoki Gedymina, które powinny ten punkt stanowić, zanadto w głąb są cofnięte, przedstawiają się niewyraźnie, niejasno. Zresztą rysunek, grupowanie, nawet malowanie w zakresie manieri artysty, wyborne. Najlepiej wychodzą przodowe postacie pochodzą, które wyszły już z lasu i odrzynają się znakomicie na jasnym tle krajobrazu; szkoda że trochę za płaskie. Najpiękniejsza i najlepiej malowana jest grupa trzech płaczków, kondukt poprzedzających. W traktowaniu ubiorów i innych szczegółów znać sumienność archeologa, szczęśliwie uzupełnioną intuicją artystyczną. Krótko mówiąc, obraz ten, mimo usterek któreśmy pobieżnie wytknęli, stanowi jeden z cenniejszych dorobków sztuki naszej z ostatnich czasów.

(Dokończenie nastąpi).

## NA POSTERUNKU.

Myśliwy, pies i kuropatwa, czyli obraz nowoczesnej moralności nie zaleźnej. — Książka ks. Eliasza Merica w tłumaczeniu ks. Prusałajtysa. — Nieco o treści dzieła i o wrażeniu jakie ono sprawia. — Z brudnego lochu do czystej i obszernej komnaty. — „Jeszcze jeden głos w sprawie pomnika Mickiewicza“. — Jakbym zmienił ten tytuł. — Nasz zgodny, polski sposób traktowania różnych spraw publicznych. — Życzenie autora „głosu“ pod adresem Komitetu. — Pomnik Kazimierza Wielkiego fundowany przez żydów. — Nowe zacieśnienie węzłów braterstwa i jedności. — Arcydziało ironii i jeszcze cztery płaskorzeźby. — Arcydziało kompletne.

„Myśliwy, wróciwszy z polowania, wydobywa z torby kuropatwę i pokazuje ją swemu psu zgłodniałemu. Biedne zwierze biega dookoła, szczeka, skomli, robi zwroty tygiące, a myśliwy wciąż trzyma nad nim ową kuropatwę. Dopóki pies tylko skacze, szczeka i skomli — robi dobrze; lecz gdy następnie jednym skokiem chwyta kuropatwę, — robi źle i dostaje od swego pana baty.

„Jest to obraz nowoczesnej moralności (niezależnej), która zezwala na złą intencję, a zabrania czynu.“

„...Mam wstrętnego nieprzyjaciela, który mi zawadza w interesach. Pałam ku niemu gwałtowną i nieubłaganą nienawiścią, radbym ściągnąć na niego wszystkie, ziemskie nieszczęścia, cieszę się z jego niepowodzeń i pragnę jego śmierci. Moralność ateuszowska, nowoczesna, powiada: to wolno. Lecz gdy życzenie moje spełniam czynem i wyrzadzam zło temu człowiekowi, — moralność nowoczesna powiada: to zabronione.“

„I czyż nie jest to podobne zupełnie do owej bajki o myśliwym i kuropatwie?“

I czyż nie jest, dodałbym, owo tresowanie ludzi według zasad moralności niezależnej, podobnem jota w jotę do systemu tresowania zwierząt? Możesz myśleć jak łotr, bylebyś nie spełniał jawnych, czynnych łotrów, a będziesz zawsze „porządnym obywatelem“.

Tak wygląda moralność niezależna w świetle prawdy życiowej, chrześcijańskiej, a ktoby ten ciekawy dziwotwór najnowszej cywilizacji chciał poznać bliżej jeszcze, — niech przeczyta wydane świeżo dzieło znakomitego profesora z Sorbony ks. Eliasza Merica, w przekładzie ks. Jana Prusałajtysa, p. t. „Błędy społeczne obecnych czasów“.

Redakcja nasza, na innym miejscu, uczyniła już o tej książce wzmiankę, a ja chciałbym całą jej treść zacytować w całości. Chciałbym, gdyż czystością, podniosłością swoją orzeźwia ona ducha i odbija dziwnie od znikczemnienia myśli nowożytnej, przystrojonej w chałat, krymkę i różne inne, mniej lub więcej brudne i cuchnące łachmany rzekomego liberalizmu. Z rodzajem jakiegoś szlachetniejszego podniecenia, przebiegasz karty dzieła, wchłaniasz słowa znakomitego myśliciela chrześcijańskiego i widzisz jak różne owe pozytywne obrzyny przemieniają się w karłów, jak ich epigonowie i komentatorowie „wybitni“ przybierają kształty liliputów, a już nasze Darwiniątka, Haekłatka,

Büchnerzątka, warszawskie — schodzą do rozmiarów za ledwie dostrzegalnych — insektów. A jakąż to czystą i zdrową atmosferą oddycha się przy czytaniu tej książki! Zmęczony otaczającym cię zewsząd zaduchem nowożytnego pogaństwa, czujesz że ci się robi lżej, swobodniej, weselej, jakbyś się od razu z brudnego, wilgotnego lochu, przeniósł do czystej, widnej i obszernej komnaty. I radbyś tu zaprosić wszystkich, co równie jak ty, spragnieni powietrza, — chcielibyś niem wzmocnić pierś osłabłą. Radbym też, mówię, cytować bodaj całą treść dzieła, bo jeden jego rozdział zawiera więcej wiedzy i światła, niż całe stopy książek nowożytnych mędrców, mszczących się na ludzkości Bóg wie za co — dłaczego, — zatruwających jej życie, obdzierających ją z jedynego szczęścia jakie daje wiara w wyższe, szlachetniejsze przeznaczenie człowieka i psyczących niemilosiernie w otchłań najbezpieczniejszych, pozytywnych bzdurstw i najkapitałniejszych nonsensów, czyli — „błędów społecznych“.

Radbym, ale nie mogę: obowiązek kronikarski wskazuje mi inne jeszcze fakta z chwili bieżącej, a między niemi inny znowu objaw (niezbyt u nas powszechny) zdrowej myśli w druku. W Warszawie wyszła świeżo broszurka p. t. „Jeszcze jeden głos w sprawie pomnika Mickiewicza“ przez J ó z e f a z L e s z n a. Gdyby mi autor pozwolił, zmieniłbym tytuł jego przemówienia na taki: „Jeden z bardzo nielicznych głosów rozsądnych w sprawie pomnika Mickiewicza“. Bo też głosów krzykliwych, bezmyślnych i opozycyjnych z zasady (a jakże!) mieliśmy już w tej sprawie aż zawiele — rozsądnych, spokojnych, wytrawnych i zmierzających do jakiegoś praktycznego celu — bardzo mało. A takim właśnie rozsądnym, spokojnym i celowym jest głos autora broszurki, który zna się widocznie dobrze nie tylko na sztuce, ale i na prawach logiki. Opowiedziawszy pokrótce, znane nam zresztą, dzieje komitetów, konkursów, znowu komitetów i znowu konkursów, autor zapytuje, w sens mniej więcej taki: Więc powiedźcie nam, opinio szanowna, a właściwie ty jej przedstawicielko, praso, czego chcesz nareszcie? Nie chciałaś p. Dykasa — nie ma p. Dykasa; nie chciałaś aby komitet powierzył wykonanie pomnika w ręce „protegowanego wielkich panów“ — no i pomnik ma wykonać artysta (p. Rygiel) który pracą i dziełami swojemi zdobył sobie rozgłosne już imię. I o cóż jeszcze idzie? — do czego ma prowadzić ostatecznie ten chaos zdań, opinii, ba nawet klątw, złorzeczeń i wymysłów w sprawie, której przewleknięcie i traktowanie w ten nasz, zgodny (!), prawdziwie... polski sposób, jest poprostu skandalem?

„Prasa, zwłaszcza Warszawska — mówi autor „głosu“ — rzuciła się formalnie i zażarcie już nie tylko na decyzję komitetu, lecz na sam komitet ścisły. Odsądziła go od czci i od wiary, zapomniała nawet o takiej osobistości jaką jest Matejko, nie krepowała się w słowach i nie liczyła z żadnymi względami, na które tak często bywa drażliwą, a publiczność obala mucała najfałszywszymi informacjami!

„Nawet jeden z poważnych (?) tygodników literackich, którego kierownik zasiadał w komitecie (obszerniejszym) pozwolił swemu feljetonistcie bezczęścić ludzi zacnych, prawych i rozumnych.“

I dziwi się szanowny autor tej nieokiełznanej swawoli dziennikarskiej, czyli dziwi się właściwie temu co już wszystkich dziwić przestało. Toż to, szanowny autorze, u nas zawsze tak. Niech ktoś poważny się wskaże niecne grynderstwa jakiejś kliki bankierskiej, a owa „większość prasy“ zgorszy się zachwalstwem i zawoła jeduogłośnie: to warchoł! Lecz gdy lada szajgoc dziennikarski w lada dzienniczku liberalno-semickim lży i obrzuca paszkwilami ludzi przynoszących chlubę społeczeństwu, wówczas ta owa „większość prasy“ nie tylko milczy, ale bohaterowi takiemu przyklaskuje w duchu. Matejko, toż przecie nie żaden nasz znany, zasłużony, ceniony powszechnie finansista, nie „polak mojąszowy“, nie „podskarbi narodu“, a komitet pomnika Mickiewicza nie jest komitetem rozdającym, w tej lub owej instytucji, cudowzy ów amulet — kredyt.

Bądź co bądź, dobrze zrobił autor „Jeszcze jednego głosu“, że wypowiedział cnym naszym mężom sterującym opinią — szczerą i otwartą prawdę, a jeszcze lepiej i najlepiej robi Komitet „pięciu“, gdy, nie zważając na wrzask i rechotanie różnych żab dziennikarskich, pójdzie dalej do celu.

Bo, tak czy owak, niechże już raz nareszcie ta nieszczęsna „sprawa pomnika“ przestanie wisieć między niebem a ziemią i ośmieszać nas — zawsze jednakich, zawsze jednomyślnych (!) i sfornych, gdy idzie o jakiś czyn publiczny!...

Gdy czytam owe różne: i głupie i rozumne głosy „w sprawie pomnika Mickiewicza“, pocieszam się tą jedynie

myślą, że jeśli nam z pomnikiem tym nie idzie świetnie, to zato lepiej się niezawodnie powędzie naszym „współbraciom mojęszowym“ z pomnikiem Kazimierza Wielkiego. Z pompą, z uniesieniem radości i z słowami uznania, doniosły niektóre nasze (?) pisma, jako pomnik ten stanąć ma w Krakowie sumptem „izraelitów“, którzy złożyli na ten cel aż 5,000, wyraźnie pięć tysięcy guldenów i za tę sumę obstalowali monument, mający świadczyć po wsze czasy o uczuciach obywatelskich... polaków starozakonnych. O ile pomnik ten będzie arcydziełem sztuki, przesądzać naturalnie nie mogę; ale o czem wiem z góry, to że będzie on arcydziełem—ironii. Wprawdzie jedno jakieś miasto żydowskie niesie zwykle większą ofiarę swojemu cadykowi, ale to wcale nie przeszkadza, abysmy i za ten dowód ofiarności, jaki żydzi składają monarsze-dobroczyńcy, nie mieli im być wdzięczni. Owszem, jestem najmocniej przekonany że ta fundacja pomnika królewskiego, za sumę jaką jeden tylko żyd, w ciągu jednego tylko roku, może odbić na jednym tylko, nawet mniej zamożnym szlachcicu, lub na kilku chłopach—zacieśni bardziej jeszcze węzły braterstwa i jedności z synami jednej ziemi, dającymi dowód tak wysokiego patriotnictwa!

Ale wróćmy jeszcze do samego pomnika.

„Statua Kazimierza—opowiadają pisma—odlana z brązu, w nadnaturalnej wielkości, stanie na podstawie z granitu szląckiego; a podstawę tę ozdabiać będą cztery płaskorzeźby, mające wyobrażać: świątynię jerozolimską, zburzenie Jerozolimy, rozproszenie żydów, i wreszcie przyjęcie ich przez Kazimierza Wielkiego.“

Będzie to niezaprzeczenie piękne i wspaniałe, ale niezupełne. Gdybym był bogatszym niż jestem, dorzuciłbym rzeźbiarzowi wykonywającemu pomnik jakieś kilka setek guldenów i poprosił, jeśli już nie o większy, okazalszy monument, to przynajmniej o szerszą jego podstawę i jeszcze o cztery płaskorzeźby—wyobrażające dalszy ciąg i skutek aktu historycznego, przedstawionego w onej płaskorzeźbie—ostatniej. Mianowicie: 1) ogólne zwaryowanie polaków w kierunku tak zwanego „uspółecznienia żydów“—i 2) ogólne zżydzenie się polaków pod hasłem tegoż „uspółecznienia“. A dalej jeszcze: 3) polak zdemoralizowany przez żyda, zgina się w pałąk przed jego złotem i „potęgą“ (!), i wreszcie 4) polak wyspany do ostatniej kropelki, obdarty ze swego kubraka i ostatniej koszuli, a przybrany w łachmany i strzępy porzuconych chałatów, błaga swego „brata mojęszowego“ o kęs suchego chleba i o odrobinę miejsca w swoim własnym domu. Arcydzielo ironii byłoby wtedy bardziej jeszcze wymownem — no i bardziej kompletnem ..

Kamienny.

## Z CAŁEGO SWIATA.

Oburzenie w Niemczech na Mackenziego. — O co chodzi? — Czy jest racya? — Honorarya artystów a w szczególności śpiewaków. — Kto oni są? — Co mają wspólnego z Mackenzie? — Bankructwa teatrów. — Rób co chcesz a patrz końca. — Catalani w Krakowie. — Kontrakt teatru paryżkiego „Gymnase“ z Rachelą. — Niezadowolenia w Niemczech z okazji otwarcia parlamentu. — Druga mowa tronowa Wilhelma II. — Pokora kancelarska. — Nowe komentarze poprzedniej mowy. — Panika. — Rozchmurzenie widnokręgu pokojowego. — Zjazdy monarsze. — Gwiazda czy aerolit?

Wielkie oburzenie panuje w Niemczech przeciwko doktorowi Mackenzie. Ale nie chodzi już o to, iż lekarz angielski stawał na poprzek lekarzom niemieckim, zdoławszy zaskarbić sobie większe niż oni zaufanie dostojnego pacjenta i jego małżonki; ani o to, że lubo wiedział że choroba jest rakiem, utrzymywał aż do końca prawie przeciwnie, psując przez to rozmaite plany i zamiary... Oburzenie to nosi na sobie charakter przeważnie narodowo-ekonomiczny: Mackenzie brał za każdy dzień pobytu przy chorym 1,500 marek, tak że kuracyca cała nieboszczyka cesarza przyniosła mu 250,000 m. — 250,000 marek!... toż to w oczach prusaków wcale ładny mająteczek, którego anglik pozbawił medycynę niemiecką. I jak się tu nie gniewać, jak się nie oburzać?...

Ależ powoli, kochani panowie niemcy! Doktor Mackenzie przynajmniej poświęcił całą młodość, najpiękniejsze lata swego życia, trudnej i mozolnej nauce, nauce kształcącej umysł ale wyczerpującej siły. On tę wiedzę którą posiadał zdobył przebojem; Bóg wie ile dni nie dojadł, nocy nie dospał, zanim zdobył te tajemnice ludzkiej natury, a specjalnie gardła ludzkiego, za które w końcu raz w życiu zapłacono mu po 1,500 marek za... do b e !...

A czemu to nie obrusza was, że taka Marcela Sembrich (ç i d e v a n t Kochańska) bierze 2,000 guldenów (4,000

marek) za wieczór, a raczej za parę godzin wieczornych; że ich 1,500 bierze van Zandt, 1,200 Mierzwiński, 1,000 Lassalle, nie wymieniając już tych *minorum gentium*, którzy poprzestają na 750, 500 a nawet 400 i 200 guldenach. Toż to są dane autentyczne, wyjęte ze sprawozdania złożonego przez ministra spraw wewnętrznych izbie deputowanych węgierskiej, dla usprawiedliwienia stanu finansowego szybko do bankructwa zdążającej Opery peszteńskiej.

I któż to są ci na wagę złota opłacani?... Ludzie częstokroć z mniej niż miernym poziomem inteligencji, ludzie najczęściej bez wykształcenia; ludzie, podobnie jak Mackenzie płaceni za tajemnicę gardlaną. Tylko że ta tajemnica dla nich samych jest największą tajemnicą, że w posiadaniu jej nie ma ani odrobiny ich zasługi, że na wyrobieniu jej kilkoletniem systematycznym krzyżowaniem a następnie na pielęgnowaniu jej starannem i chronieniu od chrypki polega całe ich zadanie.

Dziwna rzecz, jak w tym wieku pozytywnym, straciłszy wszelką pozytywną miarę pozytywnej zasługi. Te nieproporcjonalnie wygórowane płace głośniejszych artystów w ogólności a w szczególności śpiewaków, są iście chorobliwą narosłą na stosunkach naszych artystyczno-ekonomicznych, która jak zmora ciąży na nich i grozi zupełnem ich zdławieniem.

Widzimy już, że wszystkie niemal, nawet najhójniej uposażone teatry bankrutują,—i inaczej być nie może; gdyż nawet najgęściej nabita sala widzów nie może dać dochodu, któryby pokrył szalone wydatki na honoraria. Dodawszy do tego, że do ogólnych dziś postulatów należy obniżenie cen wstępu do teatrów, musimy przyjść do wniosku, że niebawem wszyscy przedsiębiorcy teatralni zmuszeni będą pozamykać budy, a teatry będą mogły tylko bardzo bogate rządy utrzymywać. A gdzie wtenczas podzięją się i co robić będą owi tak drożący się dzisiaj artyści?...

Mojem zdaniem, dobrze byłoby pamiętać o przysłowiu: „miarą kocie, idzie o cię“! Nie trzeba nigdy zbytecznie struny naciągać, żeby nie pękła; wartoby się obejrzeć trochę za siebie, w przeszłość nawet niedaleką, i z niej dla siebie wyciągnąć naukę. Wszak to nie tak dawno znów jak żyła i śpiewała Catalani; były to czasy w każdym razie lepsze ekonomicznie, a z drugiej strony takie, że w nich nie rozdziły się tak jak dzisiaj gwiazdy artystyczne, niby grzyby po deszczu. Otóż ta Catalani, która była rzeczywiście śpiewaczką wielką, z głosem fenomenalnym (opowiadano, że prawo do swego gardła po śmierci sprzedała anglikom za bajeczną sumę), przyjechawszy do Krakowa zapowiedziała koncerta z wstępem po dukacie (dukat liczył się wówczas jako 18 złp. = 2 r. 70 k.). Na pierwszym występie było jeszcze jako tako; ciekawość przemogła; ale na drugim sala koncertowa świeciła pustkami. Obrażona śpiewaczka, po koncercie, głośno wyraziła swoje oburzenie; ale tego samego jeszcze dnia otrzymała list, w którym mieściły się tylko te cztery wiersze po polsku:

„Możeia pani Catalani,  
„Śpiewajże nam ale taniej, —  
„Bo za twoje trarara  
„Dośeby było talara.“

Włoszka kazała sobie to przetłumaczyć i — dała koncert po talarze... na ubogich. W sali dusiła się publiczność, a Catalani nawet w ojczyźnie zapału, we własnej ojczyźnie, nigdy równie entuzjastycznego nie doznała przyjęcia.

W tych dniach w Paryżu odnalazł się egzemplarz kontraktu z r. 1837, zawartego na lat sześć międzydyrekcją teatru Gymnase a panną — Rachel. Czy wiecie piękne panie, które częstokroć za samo pokazywanie niebrzydkiego buziaka przy świetle kinkietów, radębyście brać tysiące rubli — czy wiecie ile brała przed pół wiekiem największa, bądź co bądź tragiczka nowszych czasów?... Oto raptem trzy tysiące franków rocznie!... Wprawdzie pensya ta co rok miała rosnać o 1,000 fr., ale za to za zerwanie kontraktu naznaczona była kara 80,000 fr....

Rozważcie to sobie dobrze wielcy ze sceny i estrady i — *pax vobiscum*.

Otwarcie parlamentu niemieckiego, choć z taką pompą urządzone że powinno było pogłaskać miłość własną niemiecką, wywołało jednak pewne niezadowolenia. Najprzód przy organizowaniu orszaku cesarskiego powstały między książętami spory o pierwszeństwo, przy którym ostatecznie utrzymał się Luitpold bawarski, zażądawszy stanowczo pierwszego kroku po cesarzu, który mu się należał z prawa jako reprezentantowi największego państwa w rzeszy, i ja-



ko następcy tego, co pierwszy nieboszczyka cesarza Wilhelma pod murami Paryża cesarzem niemieckim okrzyknął.

Do malkontentów zalicza się też prasa berlińska, obrażona tem, że zaproszenia przesłano jej za pośrednictwem biura reklam i że rozsyłaniem ich kierowała protekcyja. No, ale niema strachu; ta burza w szklane wody ucichnie niebawem.

Druga mowa tronowa cesarza Wilhelma, wypowiedziana przy otwarciu sejmu pruskiego, nie przyniosła nic nowego, oprócz zapewnienia, iż cesarz rad jest poprawić stosunek Kościoła katolickiego do państwa, i że nadal będzie się starał stosunek ten utrzymać. Zresztą przyrzekł cesarz szanować konstytucję i nie dążyć do rozszerzenia praw korony. Prusacy cieszą się, że w słowach cesarskich czuć coś niecoś z ducha ojcowskiego, z czego znów nie rad ma być książe kanclerz, ale czując w Wilhelmie II więcej młodości, energii i samodzielności, niż w zgrzybiałym nieboszczyku Wilhelmie I, młodego monarchę publicznie po rękach całuje.

Poprzednia mowa, miana w parlamencie, pomimo wszelkich pokojowych pozorów, nie zrobiła bezwzględnie pokojowego wrażenia. Szczególna rzecz iż ten niezupełnie pokojowy charakter spostrzegły w niej dzienniki wiedeńskie, a następnie, — rzecz nie do uwierzenia, — berlińskie, i to ministryalne, jak np. „Post“ między innymi. Nic dziwnego tedy, że te oryginalne w swoim rodzaju komentarze, oddziaływały źle na giełdę, która raptownym spadkiem walorów dała znak czulego, jak zawsze, serca na tego rodzaju przypadłości.

Na szczęście, zachmurzony horyzont pokojowy rozpodziły niebawem wieści o przyjacielskich zjazdach cesarza Wilhelma z innymi monarchami, a naprzód o zamierzonych odwiedzinach jego u Najjaśniejszego Cesarza Aleksandra III w Petersburgu, a następnie o spotkaniach z cesarzem Franciszkiem-Józefem i z królem Humbertem. Obecnie pierwsza dopiero pogłoska, lubo nie stwierdzona dotąd urzędowo, uważana jest za pewną. Podróż ma się odbyć morzem; cesarz ma wypłynąć z portu Kiel, na jachtie „Hohenzollern“, któremu towarzyszyć będzie eskadra złożona z kilku statków wojennych, pod dowództwem brata cesarskiego, księcia Henryka.

Gwiazda Boulanger'a widocznie chyli się ku zaćmieniu. Opuścili go bonapartyści, a opuszczają inni przyjaciele; nawet Rochefort już z niego niekontent. Pokazuje się, że to nie była nietylko gwiazda, ale nawet nie kometa; co najwięcej chyba — aerolit.

E. Jerzyka.

## KRONIKA BIEŻĄCA

### Krajowa i Zagraniczna.

**Przyjazd i pobyt w Warszawie Wielkich Księżstwa Włodzimierzostwa.** W ubiegłą Niedzielę, pociągiem nadwyzczajnym kolei Warszawsko Petersburskiej, raczył przybyć do Warszawy Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę Włodzimierz Aleksandrowicz, brat Najjaśniejszego Pana wraz z Małżonką Jej Cesarską Wysokością Wielką Księżną Maryą Pawłówną, oraz Jego Wysokość Książę Oldenburski.

Przyjęci na dworcu kolejowym przez J. W. Głównego Naczelnika Kraju Generał-Adjutanta Hurko w otoczeniu wszystkich naczelników wojskowych, oraz przez małżonkę J. W. Generał-Gubernatora w otoczeniu dam, — Dostojni Goście udali się w otwartych powozach, witani po drodze przez licznie zebraną publiczność, do Soboru katedralnego, a następnie do Łazienek, gdzie też zamieszkali.

Po nabożeństwie w cerkwi, odbyła się przed pałacem Łazienkowskim parada wojskowa, a po skończonej prezentacji duchowieństwa oraz dygnitarzy cywilnych różnych dekasteryj, Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę raczył zwiedzić szpital Ujazdowski oraz Instytut oftalmiczny fundacji księcia Lubomirskiego przy ulicy Smolnej, wyraziwszy tutaj swe podziękowanie kuratorowi szpitala księciu Janowi Tadeuszowi Lubomirskiemu oraz doktorowi Gepnerowi.

Tegoż dnia, t. j. w Niedzielę wieczorem, na cześć Ich Cesarskich Wysokości Wielkiego Księcia Włodzimierza Aleksandrowicza i Wielkiej Księżny Maryi Pawłówny, odbył się w b. Zamku Królewskim świetny raut, na który J. W. Generał-Gubernator i jego małżonka zaprosili przeszło 400 osób z różnych sfer towarzystwa.

Po przybyciu Ich Cesarskich Wysokości, nastąpiła prezentacya osób zaproszonych, przyczem każdą z osób prezentowanych Ich Cesarskie Wysokości raczyli zaszczycać rozmową. W wielkiej sali Kolumnowej urządzonym był

bufet, a w sali sąsiedniej grała orkiestra teatru Wielkiego. Toalety dam odznaczały się wspomnianością i gustem.

Drugi dzień pobytu t. j. Poniedziałek, Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę Włodzimierz Aleksandrowicz poświęcił głównie przeglądowi wojska, zwiedzaniu obozu na polu Mokotowskim i fortów, przyczem towarzyszyli Jego Cesarskiej Wysokości J. W. Generał-Gubernator warszawski, Generał-Adjutant Hurko, Jego Wysokość Książę Oldenburski i liczna świta.

Tegoż dnia o godzinie 5-tej Ich Cesarskie Wysokości raczyli odwiedzić Willanów, gdzie, w nieobecności właścicielki, hrabiny Augustowej Potockiej, przyjmowali Dostojnych Gości August hr. Potocki i Natalia hrabianka Potocka. Wieczorem zaś Ich Cesarskie Wysokości raczyli przybyć do teatru w Pomarańczarni, gdzie było danem widowisko galowe.

W trzecim dniu pobytu Ich Cesarskie Wysokości raczyli zwiedzić Barak imienia Cesarza Aleksandra II-go przy ulicy Smolnej, gdzie powitani zostali przez małżonkę J. W. Generał-Gubernatora. Po szczegółowym zaś zwiedzeniu Baraku, Dostojni Goście udali się do szpitala Ś-go Duchy, gdzie miejscowy kapelan miał zaszczyt ofiarować Ich Cesarskim Wysokościom wodę święconą i podać Krzyż do ucałowania. Orowadzani przez naczelnego lekarza, d-ra Zaleskiego—Dostojni Goście zwiedzili wszystkie sale chorych, a przy opuszczaniu szpitala raczyli wyrazić swoje zadowolone.

Wieczorem tegoż dnia Ich Cesarskie Wysokości raczyli przybyć na pole Mokotowskie, gdzie wobec tłumnie zgromadzonej publiczności, przeważnie ze sfer wojskowych, danym był „capstrzyk“ i spalonym wielki fajerwerk; — We Środę z rana Dostojni Goście w towarzystwie J. W. Głównego Naczelnika Kraju raczyli przybyć na stację filtrów na Koszykach, a po zwiedzeniu w szczegółach, tak już dokonanych jak w biegu będących robót, i wyrażeniu swego uznania zarządowi kanalizacyi, Ich Cesarskie Wysokości udali się do Zakładu Ś-go Kazimierza przy ulicy Tamka — gdzie również raczyli wyrazić, p. Ludwikowi Górskiemu, swoje zadowolenie z panującego tutaj wzorowego porządku, a odwiedzwszy następnie jeszcze ogród Saski, Dostojni Goście o 12 1/2 opuścili Warszawę, udając się do Nowo-Giergiewska.

**Mianowanie.** Gubernator radomski, radca tajny, Tołoczanow mianowany został prezesem dyrekcji głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem. Doniósł o tem „Goniec Urzędowy“.

**Święte słowa.** Warszawski „Izraelita“, organ t. z. żydów postępowych, donosząc, że podczas niedawnego pobytu w Łodzi J. E. Ks. Arcybiskupa Popiela, miejscowy rabin złożył naszemu Arcypasterzowi wizytę — cytuje zarazem słowa, jakie J. E. Arcybiskup do tegoż rabina wyrzekł. „Tak, szanowny panie rabinie — miał powiedzieć czcigodny Arcypasterz — świętym obowiązkiem naszym jest — szepnąć ucieczkę wiary w sercach. Ten bowiem co Boga się nie boi i moralne przykazania lekceważy — do wszelkich czynów bezcelestwa jest zdolny. Dlatego też każdy z nas powinien stać na straży swej wiary i w umysłach ją utwierdzać. Wszak wszyscy jednego mamy Ojca — jeden Bóg nas stworzył. Niechaj każdy swoją wyznaje religię, ale niechaj też każdy szczerą chowa w duszy wiare“ etc.

Święte słowa — słowa godne zaiste powtórzenia i zapamiętania. I jeżeli „Izraelita“ samem przyjęciem, jakiego ze strony J. E. Arcybiskupa doznał rabin łódzki, jest słusznie zbudowany — to niemniej zbudowany być winien tem pełnem szlachetności i prawdy przemówieniem. Powinienby on słowa powyższe, jak najczęściej i sobie i swoim współpracownikom przypominać, boć nikt, jak właśnie żydzi którzy w nic nie wierzą, jak żydzi tak zwani postępowi — nie pracuje równie zawzięcie nad szerzeniem bezwyznaniowości, choćby tylko przy pomocy „liberalnej“ prasy. Nie widział też nikt u nas tak bardzo rozprzestrzenionej tej ohydnej pseudo-postępowego ateuszostwa, nie krzewiła się, ani tak szybko ani tak szeroko, ta zaraza moralna, dopóki żyd nie wyzuł się całkowicie z wiary, dopóki wierzył choćby w odbudowanie Jerozolimy, ale zawsze wierzył. Żaden zacofany żyd szynkarz nie był w stanie, nawet w setnej części, wyrządzić tyle złego sprawie moralności, ile potrafi żyd postępowy, dajmy na to, publicysta, dziennikarz.

**Sprostanie.** Z Krasieczna, z kancelaryi centralnej książąt Sapiehów, otrzymujemy list następujący: „Do Szanownej Redakcyi „Roli“ w Warszawie. W Nrze 25 „Roli“ z d. 23 Czerwca r. b., w artykule „Judaica“ (Korespondencya z Krakowa — pr. r.) dotyczącym osoby d-ra Roińskiego (właściwie Wursta pr. r.) znajduję wzmiankę, że książę Adam Sapieha poruczył mu prowadzenie swoich interesów. Nie wchodząc w ocenę wspomnianego artykułu, zaznaczam tylko, że książę Adam Sapieha nigdy nie poruczał prowadzenia swoich interesów dr. Roińskiemu.

„Prosząc Szanowną Redakcję o pomieszczenie niniejszego sprostowania w „Roli“, łączę wyrazy etc.

*Leszek Wiśniowski.*“

**Ponowny zakaz.** Ponownie wydanym został surowy zakaz, ażeby osoby wyznań niechrześcijańskich nie zajmowały się nadal wyrobem tablic grobowych i pomników, na których się znajdują wyobrażenia Krzyża, aniołów i świętych.

**Nowości wydawnicze.** Wyszła świeżo z druku broszurka p. t. „Jeszcze jeden głos w sprawie pomnika Mickiewicza“ — przez Józefa z Leszna.

P. Feliks Rybarski wydał ciekawą i interesującą monografię, p. t. „Szkoła wyższa realna w Kielcach“.

**Sztuki plastyczne.** W tych dniach otwartym został w Warszawie, przy ulicy Wierzbowej Nr. 7, nowy Salon artystyczny. Poświęcenia dokonał ks. Siewierski. Nowy salon jest własnością spółki, na czele której stoją p. p. Pawłowski i Martynowski. Czynny też udział przyjmują tutaj artyści znani, jak Gerson, Mirecki i inni. W nowym salonie, założonym z celem prawdziwie pożytecznym, mają być głównie reprezentowane: sztuka stosowana i dział malarstwa kościelnego.

Na tegoroczne premium warszawskiego Tow. zachęty sztuk pięknych wybrany został obraz Alchimowicza: „Pogrzeb Gedymina“.

**Z teatru i muzyki.** Na scenie teatru Rozmaitości ma być wkrótce już przedstawioną komedia Kazimierza Zalewskiego: „Lis w kurniku“.

Na repertuar teatru Letniego ma być wprowadzoną niebawem jednoaktowa komedia Eugeniusza Scribego p. t. „Sukcesorka“.

Na scenie teatru Nowego ma być wystawioną, przy końcu b. m., trzyaktowa opera komiczna Delibesa: „Król tak powiedział“. Libretto napisał Edmund Gondinet.

**Zmarli:** Ś. p. Jerzy Laskarys, utalentowany poeta i publicysta — zm. w Dowborowie pod Radoszkowicami w gub. Wileńskiej.

Ś. p. Henryk Korwin-Piotrowski, młody skrzypek i kompozytor — zm. w miejscowości leczniczej Pohulance pod Dynaburgiem.

## SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

5 Lipca 1888 r.

Z rynków amerykańskich zbożowych nie nadeszły i tym razem żadne wiadomości o zmianie dotychczasowej sytuacji. Również na rynkach europejskich trwa ciągle jeden i ten sam stan rzeczy.

Na targach warszawskich widzimy także usposobienie niezmiennione.

Na placu Witkowskiego płacono pszenicę wyborową 6.70—6.80, średnią 6.40—6.60, ordynaryjna bez pokupu. Żyto wyborowe 3.75—3.95 średnie 3.60—3.70. Owies średni 2.20—2.60.

Na stacyi Praga pszenicę wyborową płacono 112—116, średnią 106—109, ordynaryjną 95—98 kop. za pud. Żyto przy niskim zaofiarowaniu—wyborowe 65—68, średnie 62—64, ordynaryjne 58—60. Owies średni 61—69, gorszy 58—59 kop. za pud. Gatunków wyborowych brak zupełny.

W handlu okowitą panuje ciągle usposobienie ospałe i niepewne. W Hamburgu cena regulacyjna na Lipiec Sierpień wynosiła 21 m. za 100 litrów. Na rynku zaś Warszawskim płacono 2.67—2.69 za garniec w sprzedaży hurtowej; w detalicznej, jak zwykle, o parę kopiejek wyżej.

Na targu prazkim, przy zwyczajnej dostawie wołów, ceny niezmiennione.

Na rynkach żywnościowych, nabiał i drób, przy obfitej dostawie, tanie.

## Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. Ks. Kan. Biel... w K. — Wiadomość o zamachu na redaktora naszego pisma podaliśmy w N-rze 21 w „Kronice bieżącej“. Za życzenia i błogosławieństwo najszczerze ślemy — dzięki.

Sz. Ks. Miod... w K. — Będzie wkrótce; za zwłokę przepraszamy najmocniej.

P. Jan Kadowski w Mińsku Gub. — Przepraszamy najmocniej, ale innym numerem służyć sz. panu nie możemy. W numeracyi stronie tego numeru zaszła pomyłka powtórzona w całym nakładzie. Należy więc przy oprawie odciąć str. 3-cią i 4-tą i odwrócić kartę brzegiem prawym do środka numeru, a treść właściwa będzie następowała po sobie.

P. Klemens T... z Warsz. — Pomieścimy we właściwej rubryce.

P. Aleksander Wąsowicz w Jan. Lub. — Za materiały dziękujemy uprzejmie; — zużytkujemy najchętniej.

P. Donat. w Siedlecach. — Otrzymałszy; dziękujemy — prospekty wysyłamy.

Korjolanowi. — Z nadesłanego wiersza skorzystać nie możemy.

P. W. Korejwo. — Pośrednictwem w przesyłce żądanych dzieł chętnie służyć będziemy.

P. Włodz. Stab. — Prosimy o pofatygowanie się do redakcyi naszej lub o nadesłanie adresu.

Czytelnikowi. — Wiadomość o „sławnym laryngologu“ — zużytkujemy w numerze przyszłym.

Panu M. K. z Warsz. — Tak; jest to właśnie jeden z dowodów tego bezecnego zachwalstwa przygarbiętych niegdyś chałatających przybłądów, o którym mówi nasz feljetonista w numerze poprzednim. Co do drugiego: nie, — byłoby to bowiem więcej niż śmiesznem.

## REKLAMY.

# W szkole dwuklasowej męskiej

przy Alejach Jerozolimskich doma Nr. 74, lokal Nr. 2,

wpis uczniów na następny nowy szkolny rok 1888/9 zacznie się 4 (16) Sierpnia od godziny 9-ej do 3-ciej po południu. Lekcyje rozpoczną się 20 Sierpnia (1 Września).

Utrzymujący szkołę

**Antoni Mrajski.**

(10—i)

## OGŁOSZENIA.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-27  
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

**I. Jodłowskiego**

Białańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nowożytnych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.

# Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

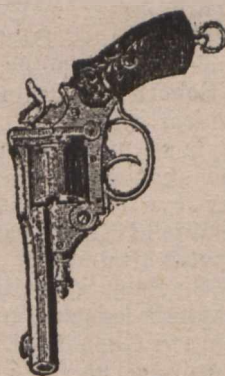
poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki Koldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

# MAGAZYN MEBLI K. Dziegielewskiego

Ś-to-Krzyżka Nr. 5.

Poleca wielki wybór mebli stylowych i fantazyjnych, oraz najświeższe dekoracje. (26-5)

## Ważne dla P. P. Myśliwych!



Gilzy metalowe Lancastra mego wynalazku, przewyższające wszystkie dotychczasowe, wytrzymałe z górą 60 strzałów; wchodzi i wychodzą po strzale z lufy swobodnie, sprzedają bez różnicy kalibru, z przesyłką pocztą w obrębie Królestwa 8 rs. setkę, 25 sztuk 2 rs. pistony Berdausa do tychże 60 kop. 250 sztuk.

Broń, rewolwery, Gilzy papierowe w ogóle Amunicję, wyrabiając sam sprzedają po cenie fabrycznej, sumienną reperację, przeróbki po cenie najniższej.

Pojedynki odcyłkowe dla młodzieży do strzelania szróttem 18 rs. z przyborem.

Handlującym rabat.

Cenniki na żądanie franco. (52—6)

Parowa Fabryka Broni Rewolwerów i Amunicyi

**JULIANA STAPF, w Warszawie,**

43! Nowy-Swiat 43!

# NOWE MIASTO NAD PILICA

(gub. Piotrkowska, pow. Rawski)

## ZAKŁAD PRZYRODOLECZNICZY.

Racyjalna hydroterapia, z kompletnymi, obszernymi i dogodnymi urządzeniami kąpielowo-leczniczymi. Elektryczność, masaż, gimnastyka, leczenie mlekiem, wszelkie wody mineralne, wyborne kąpiele rzeczne.

Seiisy internat i eksternat prowadzone przez Zakład, dyjetetyczne stołowanie, zdrowy klimat, malownicze położenie, liczne spacery w parku i lesie, orkiestra w sezonie letnim.

Telegraf przy zakładzie, poczta codziennie.

Ceny umiarkowane, a urządzenie zastosowane do stopnia zamożności, ułatwienia dla niemających, ulgi dla ubogich.

Komunikacja osobowa koleją Warsz.-Wiedeńską przez Skierniewice, lub Iwangrodzko-Dąbrowską przez Opoczno.

Szczegółowe objaśnienia w Zarządzie zakładu, lub w Warszawie w aptece H. Kucharzewskiego, Miodowa 4.

Właściciel i kierownik Zakładu Dr. J. Bieliński.—Lekarz miejscowy Zakładu Dr. St. Niedzielski, Dr. Adam Ciągliński ordynujący podczas sezonu, Konsultant Dr. med. J. Pawliński z Warszawy, dojeżdżać będzie w pewnych, oznaczonych terminach.

10—10

## ROMUALD KRASUSKI, KRAWIEC

Warszawa — Hotel Brühlowski — róg Niecałej.

Mam zaszczyt donieść, że w celu rozszerzenia działalności i zjednoczenia interesów pod osobistym kierunkiem i nadzorem moim z dniem 9-tym Lipca b. r.

### MAGAZYN UBIORÓW DZIECIENNYCH

istniejący pod firmą „ROMUALD“

przenoszę do Hotelu Brühlowskiego, róg Niecałej,

a jednocześnie, przy Magazynie pod firmą:

„Magazyn Ubiorów Męzkich Romualda Krasuskiego“

otwieram nowy Oddział

### GOTOWEJ GARDEROBY MĘZKIEJ

który zawsze zaopatrywać będę w wielki wybór odpowiedni do sezonu, z wyborowych materiałów zagranicznych i krajowych z najcelniejszych fabryk—umożliwiając przez to każdemu w jednej chwili ubranie się podług ostatniej mody, za cenę bardzo umiarkowaną.

Dotychczasowe uznanie, jakim się cieszy moja firma Ubiorów Dziecinnych „ROMUALD“, a także własna „ROMUALD KRASUSKI“—daje mi rękojmnię i nadal trwałe go pozyskania od Szanownej Publiczności poparcia i względów.

3—1

Romuald Krasuski.

Znany od lat 25-ciu

## SKŁAD ZAPALEK

i innych wyrobów chemicznych, towarów toaletowych i galanteryjnych

## W. DZISIEWSKIEGO

przeniesiony został z ulicy Marszałkowskiej na ulicę Senatorską Nr. 28,  
dom p. Kaftala, wprost Kościoła po-Reformackiego.

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885.  
DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.

MAGAZYN MEBLI

### ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokoi jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracyjne, podług najwiewszych żurnali (13-1)

FABRYKA I MAGAZYN

### WYROBÓW JUBILERSKICH W. MOCZYDŁOWSKIEGO

przy ulicy Nowo-Senatorskiej pod Nr. 3, obok Hotelu Rzymskiego, (12—6)

poleca:

znaczny wybór gotowej biżuterii z własnej fabryki, co daje łatwość do zmiany starej biżuterii na nową, a jako z pierwszej ręki znacznie taniej. Obstalunki i reperacje po cenach niskich, najakuratniej się wykończają.

HANDEL GALANTERYJNY

### NEPOMUCENA SKUBISZEWSKIEGO

Malarza

w Częstochowie

ulica 8-tej Barbary.

Posiada znaczny zapas obrazów w rozmaitym guście Matki Boskiej Częstochowskiej,—na drzewie Cyprysowem, Mahoniowem, Lipowem i t. p.—na Płótnie, Ceracie, Blaszce—w rozmaitych rozmiarach, od cała do dużej wielkości—oraz przyjmuje obstalunki w zakres malarzski wchodzące. (3—1)

### KUCHENKI naftowe, benzynowe

NAJTANIEJ

### u EDWARDA DUSOGE

Nowy-Swiat Nr. 5,

(Wprost Straży Ogniovej).

(6—3)

Specjalna Fabryka i Magazyn  
**BIELIZNY**

**L. GALKOWSKIEGO**

w Warszawie,  
Marszałkowska Nr. 133,  
róg Ś-to Krzyżkiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. Kalesony, Skarpetki i Szelki, Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmodniejszych. Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera.

Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spieszenie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—42



SKŁAD WIN (24-18)  
**J. Lijewskiego i S-ki**  
Krakowskie Przedmieście Nr. 6,  
(wprost Kołolola Ś-go Krzyża).

Mianowany przez Prześwietny Konsystorz Generalny Warszawski przysięgłym dostawcą win do Ołiary Mszy Ś-tej, donoszę uprzejmie, iż chcąc godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu — zaopatrzam piwnice w czyste i wyśnne wina Węgierskie, odpowiednie do użytku kościelnego i sprzedaję takowe na butelki, garnce i beczki.

Oprócz tego pozwalam sobie zwrócić uwagę Szanownych Odbiorców na wina w beczkach z zapasów dawniejszych, a mianowicie z roku 55-go — jako z ostatnich lat dla win Węgierskich najkorzystniejszego — w bogatym wyborze gatunków i smaków, odstępując takowe, przy możliwie małym zysku, po cenach hurtowych.

W końcu nadmienić sobie pozwalam, iż piwnice składu zaopatrzone są w liczne i wyborowe gatunki win Węgierskich w butelkach, tak wytrawnych, jak maślaczy, odznaczających się czystością jagody i w skutecznym zdrowych i posilających, oraz w wszystkie inne wina zagraniczne z renomowanych domów, Francuskie, Reńskie, Hiszpańskie i t. d.

Szczegółowe cenniki na żądanie franko i bezpłatnie.

Zatrzaski do drzwi różnej konstrukcyi,  
Kłódki, Łańcuchy do drzwi (3—2)

poleca:

**EDWARD DUSOGE**

Nowy-Świat Nr. 5, (wprost Straży Ogniowej).

„GUDRONT”

**A. Ciszewski Budowniczy i S-ka.**  
w Warszawie, Hotel Angielski.

Osuszanie wilgotnych mieszkań i budowli; niszczenie grzyba drzewnego i konserwacja drzewa. (10--8)

Krawiec (52—21)

**M. CHMURCZYNSKI**

w WARSZAWIE

róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej Nr. 94 nowy,  
na dole w podwórzu po prawej stronie.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres krawiectwa wchodzące, oraz wykonywa wszelkie odnówki jesienne i zimowe palta, sakpalta, surduty, tużurki, żakiety, marynarki, spodnie, kamizelki i t. p., i takowe oczyszcza z plam i brudu, obszywa taśmą, podszywa podszewki, nieuje, reperuje, zmienia aksamitne kołnierze, guziki i odprasowuje, jak najakuratniej, po cenach bardzo niskich.

Treść numeru : Przed zarazą... — Podporządkowywacze leśni. — Francya zżydziała (d. c.). — Opowiadanie. przez autorkę „Opowiadań“ — Mozajka literacko-artystyczna. — Na posterunku, feljton Kamiennego. — Z całego świata. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Sprawozdanie handlowe. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — W odcinku: „Narwańcy“, powieść przez T. Jeske-Choińskiego (d. c.).

Redaktor i Wydawca Jan Jeleński. Дозволено Цензурою. — Варшава 23 Іюня 1888 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)

FABRYKA I MAGAZYN  
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY  
KONNEJ JAZDY I POŁOWANIA  
T. L. BREYMEYER, — Warszawa  
Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaze  
Płaszcz gumowe — Buty filcowe  
Kurtki — Płaszcz i Spodnie skórzane  
Torby myśliwskie — Futerały na broń  
Portmoneki — Papiłaresy — Portfelgary — Woreczki i t. p.  
Wszelkie reperacye uskuteczniają się szybko i dobrze.

6—6

**FELIKS ZARĘBA**

w Warszawie,

ulica Miodowa Nr. 8.

Posiada znaczny zapas Obuwia Damskiego, Męskiego i Dzieciniego.

Przyjmuje wszelkie obstalunki.  
Ceny przystępne, za dobroć poręcza.

**Polski Kantor Bankierski**  
RADZISZEWSKI i S-ka (52-27)  
WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

Zatwierdzone przez rządy:  
St.-Petersburg — Wiedeń — Budapeszt.

Broszurka  
bezpłatnie



U w a g a . Broszura nie  
porównywać w praktyku  
mego z reklamowanymi  
w ostatniej chwili em-  
iami vel Gurlifoliam!

„EXSICCATOR”

Osusza wilgoć w domach, zabezpiecza drzewo od GNICIA i Grzybka. Dezynfektuje. Zastępuje OLEJNĄ FARBĘ.

52-23

Inżynier Ritter, Królewska 39.

**KRÓLOWIE POLSCY**

dla młodzieży, poczet z 43-ch portretów litogr. podług rysunków T. Maleszewskiego, z tekstem, do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Roli“, w ozdobnej oprawie lub na wielkim arkuszu, cały poczet rs. 2 kop. 50. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.